N^ER 23.

W PIĄTEK
Dnia 20 Września 1833 roku.

ROZMAITOŚCI.

PISMO DODATKOWE DO GAZETY WARSZAWSKIÉJ.

WALKA Z BYKAMI.

(Z Rozmaitości Lwowskich.)

Pomiędzy widowiskami, wyprawionemi w *Madrycie* podczas uroczystości złożenia przysięgi hołdu przez Kortezów następczyni tronu, odprawiono także trzykrotną walkę z bykami na placu *Major*. Pierwsza, zwana walką Królewską, przedstawiała istotnie widok wspaniały. W dniu oznaczonym przybyli Królestwo Ichmość o godzinie 5téj po południu na miejsce walki i usiedli pod bogatym baldachinem na głównym balkonie pałacu *Casa Real de Panaderia*. Na innych balkonach byli członkowie Królewskiéj rodziny ze swym orszakiem, we wszystkich zaś oknach na plac wychodzących, pełno było widzów. Przed wszystkimi na placu będącymi, zwracali na siebie uwagę czteréj *caballeros*; nie byli to *toreadores* z professyi, lecz dyletanci wyższych stanów, którzy w starożytno-Hiszpańskim kostumie mieli atakować byki z konia krótkiemi lancami, zwanemi *rejoncillos*. Xiążęta *Berwick*, *Frias*, *Florida-Blanca* i *Infantado* byli ich patronami, jakoż *caballerowie* w powozach tych Xiążąt i w ich towarzystwie plac objechali; a potém przez nich Królestwu Jchmość przedstawieni byli. Stanąwszy naprzeciw balkonu Królewskiego, wsiedli na konie i bój się rozpoczął, który dla dwóch rycerzy skończył się nieszczęśliwie; albowiem przez rozjuszone byki z koni zwaleni i śmiertelnie ranieni, musieli z placu walki bydź odniesieni. Było siedm byków, z któremi *caballeros en plaza* walczyli. Po tych następowali kolejno *picadores*, *matadores*, a nakoniec *toreros*, którzy się z różnemi bykami potykali. Walka trwała aż do 8méj godziny wieczór, kiedy zapadły zmrok koniec jéj położył. Następujące dwie walki zwabiły także niezmierną liczbę widzów. Dnia drugiego wystąpiło trzech świeżych *caballeros*, którzy atoli szczęśliwszymi byli od swych poprzedników. Dnia trzeciego plac walki przedzielony był ścianą na dwie części, tak, że widzowie na podwójną walkę razem patrzali. (*) Chcąc czytelnikom naszym dać dokładniejsze o toku takich walk wyobrażenie, umieszczamy opis walki z bykami, odprawionéj dnia 5go Czerwca 1831 roku w *Aranjuez:*

SCENA 1.

BYK W AMFITEATRZE.

Dnia 5go Czerwca roku 1831 w Niedzielę o godzinie 5téj wieczorem podwójny amfiteatr i loże placu walki z bykami w *Aranjuez* napełnione były niezliczoném mnóstwem widzów, oczekujących z niecierpliwością rozpoczęcia widowiska. Było to na dniu letnim, nader pogodnym i skwarnym. Niezmierny tłok ludu, nagromadzonego w cyrku, powiększał jeszcze dzienny upał; powietrze było parne i dopiekające, oddychano zewsząd samym prawie ogniem.

Mimo tego, że słońce, rozsyłając swe promienie w pionowym kierunku, z całą prawie jeszcze siłą dogrzewało w sam środek *tendido* (amfiteatru otwartego, w któ-

(*) *Uroczystości te zakończyła udawana bitwa*, simulacro *zwana, w któréj* 30 *tysięcy wojska walczyło; jedna połowa broniła* Madrytu, *druga zaś usiłowała zdobyć go. Pierwsza podług umowy poprzedniéj odparła atak i odniesła zupełne zwycięztwo. Pole bitwy było na równinie po prawéj stronie drogi do Alcala idącéj. Królestwo Ichmość przypatrywali się obrotom wojennym z belwederu Buen-Retiro.*

rym się lud mieści), wszystkie głowy tłumu, napełniającego ławki, znosiły dopiekanie jego z stoiczną wytrwałością; każde miejsce było zajęte, nikogo już nie brakło. W dniu tym sam Król, Królowa i Infanci zaszczycić mieli widowisko swoją obecnością. Loża Królewska przystrojona była w ponsowe draperye z złotemi frędzlami, Z rozpoczęciem widowiska oczekiwano Króla, który tą razą sam miał zawiadować porządkiem walki. Wyborną to było wróżbą dla lubowników; gdy bowiem Monarcha należał do najbieglejszych znawców podobnych zabaw, każdy mógł bydź pewnym, iż będzie zadowolony.

Turkot powozów królewskich dał się słyszeć. Dobosze odbili marsz pozdrawiający. Ujrzano niebawém Króla, prowadzącego za rękę młodą i pełną wdzięków Królową w orszaku Infantów i Infantek.— Muzyka cyrku przygrywała im w wielkiéj orkiestrze pienia narodowe: *El contrabandista* i *Cachucha*. Skoro dostojne osoby zajęły swe miejsca, zaczęło się widowisko. Szwadron strzelców konnych usunął z pośród szranków lud, którego część się tamże wtłoczyła.

Alkazylowie na koniach z laseczkami w ręku, mając na czele swoich przywodźców *el alquacil mayor*, wprowadzili *toreros* (szermierzy, mających z bykami iść w zawody). Najpierwéj weszli walczący pieszo, jako to: *chulos, capeadors, espadors* (czyli matadory, których bronią jest szpada) i *banderilleros* (którzy przeszywają kark byka strzałami), wszyscy przystrojeni w jedwabne płaszcze świetnych kolorów; głowy zaś ich okrywały *montera* (gatunek czarnych czapek), zamiast rogatych kapeluszów, które zwykle noszą w *Madrycie*. Na ich czele uważano ucznia *Romera*, młodego *Montesa*, ulubionego od ludu zapaśnika. Za tymi wjechało pięciu *picadors* (walczących konno i dzidami uzbrojonych), krótkie ich kaftaniki były tak bogato przerabiane perłami i złotem, iż zaledwie gdzieniegdzie tylko przebijało się tło ich aksamitne.

Król dał im znak, aby potrzebne zajęli stanowiska. W oka mgnieniu rozproszyli się po placu *banderilleros, capeadors,* (których płaszcz jest jedyną bronią) i *espadors*, zrzucając każdy płaszcz w jednę rękę, i odsłaniając widzom całą okazałość swoich wytwornych ubiorów *majos*, przeciężonych drogiemi kamieniami, złotemi i srebrnemi listkami, tak, że raziły oczy swoim blaskiem. Był to jakoby mały korpus, który, spodziewając się napadu nieprzyjacielskiego, obronne zajmuje stanowisko, i ustawia się w szyk wojenny. Trzech *picadorów* wystąpiło po za plac walki; mieli oni składać jazdę odwodową. Dwaj pozostali, *Sevilla* i *Pinto*, gdy im podano ich dzidy, zajęli miejsce przy dłuższym boku placu, tuż obok ogrodzenia, w pewnéj odległości od bramy *torilu*, czyli stajni, w któréj zamknięte są byki. Król rzucił od niéj klucz. Jeden z alkazylów, który go otrzymał, przebiegł plac, by go wręczyć *mayoralowi* (dozorcy byków), poczém chroniąc się sam z największym pośpiechem, dostał się po za obwód w pośród głośnego śmiechu i sykania wszystkich przytomnych.

Uderzono w bębny. Była to chwila okropna i uroczysta. Brama *torilu* rozwarła się. Okazały byk, w czarne odmiany z białemi, wpada pomiędzy szranki. Zwraca się natychmiast ku pierwszemu *picadorowi*, niepewny depcze ziemię nogami, potrząsuje łbem, jakoby chciał rzucić się na swego nieprzyjaciela, nareszcie jednym skokiem w bok puszcza się w inną stronę. Ta jego nieśmiałość dostateczną już była do potępienia go. »*No vale nada!*« już zewsząd wołano, (psów na niego, psów), »*es una vaca, es una cabra.*« I w saméj rzeczy, prędzejby o nim można było powiedzieć, że to kozioł, aniżeli byk. Z samego początku dowiódł on, że się w tym względzie na nim nie zawiedziono; gdy go bowiem jeden z *chulosów* chciał zwrócić nazad ku *picadorowi*, byk puścił się za nim samym, a gdy *torero* przeskoczył zaporę, tenże, rzuciwszy się także przez nię, pokazał, jak zręczny z niego skoczek. Szczęściem dostał się tylko w ganek, idący do koła placu, (co się w walce nie jednemu zdarza bykowi. Wkrótce wpadł nazad w szranki przez jedne z wrót, które mu otworzono po drodze. Mimo tego widzowie wygwizdali go, miotali nań obelgi i domagali się psów z największą zapalczywością. W

tejże chwili drażniony przez innego *chulosa*, przebiegł za nim szybko całą szerokość placu, a przybywszy pod zaporę, po za którą się schronił *torero*, nadzwyczajnym uniesiony zapędem, rzucił się przez nię.— Okropny wrzask dał się słyszeć zewsząd.— Nie tylko bowiem, że się dostał tak, jak pierwszą razą, do ganku, okrążającego plac walki, lecz tymże samym przesadził całą jego szerokość, i puścił się w największy tłum ludu, to jest w *tendido*. Trwoga ogarnęła umysły wszystkich. Zgromadzony lud, na kształt morza, gwałtownym wiatrem rozhukanego, rzucał się wszędzie w wielkich masach, zalał *gradas cubiertas*, przeskakując i przełażąc szranki, które go oddzielały; lecz gdy i tu, a nawet i w lożach już sobie dostatecznego nie mógł obiecywać bezpieczeństwa, zawalił wkrótce wszystkie drzwi wychodowe. Okropnie było patrzyć na ten nieład i wrzawę. Nadewszystko zaś uderzał widok kobiet, unoszących swe dzieci na rękach, w pośród żałośnych narzekań.

Tymczasem byk, sam niemniéj od widzów przestraszony, przebył już owe wały ludu, które się same przed nim otwierały, i dostał się aż w sam środek orkiestry; tu zatrzymawszy się chwilę na ustępie, będącym pomiędzy schodami, rzucał około siebie wzrok niespokojny i obłąkany. Biedny zwierz radby był jak najprędzéj się wymknąć, nie zaś napastować ludzi. Z resztą nie zastał już i muzykantów na swoich miejscach, już oni je porzucili zostawiwszy klarynety, cymbałki i t. d. porozrzucane tu i owdzie w największym nieładzie pomiędzy powywracanemi krzesłami. Wszystko to potratował on swojemi nogami, a otworzywszy sobie drogę przez złamanie kilku drewnianych balasów, puścił się, w dalszym biegu ku *tendido*. Lecz korpus *torerów*, zebrawszy się i zasadziwszy, zastąpił mu drogę. Byk, nie mogąc się tam bronić, ani też stawić czoła w pośród tych nierównych schodów, w których się zgmatwał, padł niebawem, przeszyty zewsząd szpadami i sztyletami. Teraz przybiegli dopiero ochotnicy królewscy. Trzeba wiedzieć, iż pewna ich liczba stoi zwykle przy drugiem wewnętrznem ogrodzeniu na pierwszem podniesieniu *tendido*.— Z grzecznością przepuścili oni biegnącego koło siebie byka; w samym zaś początku trwogi umieli się wykierować dość korzystnie, gdyż dla uniknienia wszelkiego niebezpieczeństwa pośpieszyli stanąć na straży u drzwi wychodowych. Lecz teraz, gdy spostrzegli, że nieprzyjaciel już się chwieje i pada, każden z nich pośpieszył pchnąć go swoim bagnetem.

Wieść o zabiciu byka rozeszła się w oka mgnieniu. Wstrymano się z poruszeniami wstecznemi. Tłum zaczął się ośmielać i wracał zwolna i następnie. Nie szukano już swoich dawnych miejsc, każdy zajął to, które zastał próżne. Wszystkie stany pocieszały się z sobą: najbardziéj tłoczono się do *gradas cubiertas* i do wyższych rzędów w *tendido*, niższe nie tyle już były zapełnione, nie dowierzano im bowiem, jako bliższym placu bitwy. Jednakże burza nie uciszyła się jeszcze ze wszystkiem; głucha wrzawa panowała we wszystkich częściach obwodu. Było to jak owo brzęczenie pszczół, cisnących się do ula po nastąpionym napadzie. Tą razą nie wielu było rannych. Nie jeden z przewróconych i podeptanych, jeźli jeszcze mógł utrzymać się na nogach, nie porzucił widowiska. Najwięcéj kobiet było w tym przypadku; jeszcze drzące całkiem zmieszane wracały i tłoczyły się z innemi. Mężczyzni palili mocno cygara, używając ich zapewne jako środka łagodzącego. Zaledwo można było przejrzyć te gęste kłęby dymu.

SCENA II.

Picadorowie.

Walka ciągnęła się daléj. Wpuszczono na plac drugiego byka; był to byk Andaluzyjski z wyniosłemi i rozłożystemi rogami. *Chulosowie* usiłowali odwrócić go od *picadora* Pinta, którego byk przewróciwszy na samym wstępie wraz z koniem, nogami tratował. Koń już się nie ruszał, pchnięcie rogu w serce pozbawiło go życia. Jednemu z *capeadorów* udało się zwabić ku sobie byka, który zaczął się za nim uganiać. Podniesiono wtedy *picadora*; nie odniósł on wprawdzie znacznéj rany; lecz tylko kilka mniejszych zadraśnień i silnych uderzeń. Nie odjęło mu to bynajmniéj

serca. Wyszedł z placu i niebawem ujrzano go na świeżym koniu. Przywitany został mocnemi okrzykami. Tymczasem drugi *picador*, Sevilla, także został z konia zsadzony. Koń jego, najprzód w pół przebity od byka, a potém o ziemę powalony, podniósł się jeszcze i obiegał w cwał plac boju, tarzając w piasku poprute wnętrzności, depcząc je i własnemi rozdzierając kopytami, aż rozkrwawione ich szczątki obryzgiwały widzów. Tak rozpędzony wpadł sam na byka, który, wziąwszy go na rogi, rzucił o dziesięć kroków, i tym sposobem zakończył jego cierpienia. Biedne zwierzę! Zdawało się, że byk dobił je przez samę litość! »*Bravo toro! bravo toro!*« wołano zewsząd, tupając mocno i przyklaskując. Lecz byk rzucił się już na drugiego konia, na którym siedział Pinto. Dzida *picadora* skruszyła się przez silne pchnięcie w szyję rozjuszonego zwierza, który utopiwszy w piersiach konia cały swój róg, rozdzierał zawzięcie głęboką ranę. Zdawało się, jakoby chciał cały swój łeb w niéj zanurzyć.

Na młodego *matadorę* Montesa przypadło z kolei, ubić tego byka. Nie była jeszcze wprawdzie sposobna do tego pora, lecz on, widząc niebezpieczeństwo, przybiegł, zaczął go drażnić płaszczem, a to, aby na siebie zwrócić jego wściekłość i uwolnić *picadora*. Szczupłość miejsca nie dozwoliła Montesowi dostatecznéj w poruszeniach dogodności, gdyż okropne to pasowanie odbywało się tuż prawie przy samych szrankach. Nareszcie byk, drażniony i zniecierpliwiony nieustannemi *matadory* zaczepkami, obrócił się ku niemu, wyrywając róg z piersi konia, który wtedy, utraciwszy siły, padł w tył na swego jezdzca.

Tak więc ocalonym został *picador*.— Montes, któremu właśnie o to tylko chodziło, zwrócił się ku szrankom i dla uniknienia niebezpieczeństwa chciał przez nie przesunąć. Lecz w tejże chwili, gdy się już wsparł jedną nogą na wązkiéj desce, umieszczonéj w połowie wysokości szrank, (a to dla ułatwienia ucieczki *torerom*, gdy są ścigani), zaplątał się w płaszcz, który w jedym trzymał ręku. Przeszkoda ta zgubiła go. Byk nie potrzebował się nawet rozpędzać; jednym skokiem był już przy nim, ugiął łba i podrzucił go silnie. Montes, śmiertelnie ugodzony, padł na ziemię. Pierś jego przeszyta została jednym rogiem pod lewem ramieniem.

Cały tłum widzów podniósł się jednym poruszeniem, wszyscy postawali na ławkach, wpatrując się z dziką ciekawością.

Byk nie odszedł; jeszcze nie opuścił swojéj ofiary. Widząc Montesa rozciągnionego na piasku, wąchał go, a dostrzegłszy w nim jeszcze ślady życia, cofnął się kilka kroków, odsadził się, wziął go na rogi i podrzucił w gorę pięć lub sześć razy. Wszyscy *toreros* uszykowali się około nich, czyniąc tysiączne usiłowania rozpaczy dla ocalenia szczątków swego towarzysza. Nareszcie byk drażniony i oślepiony nadstawianym sobie szkarłatnym płaszczem przez jednego z *capeadorów*, zajmując się nowym przeciwnikiem, pobiegł ku drugiéj stronie placu, opuszczając już przecież nieszczęśliwego Montesa. Leżał on bez najmniéjszego znaku życia z podartemi w kawałki sukniami i cały opluskany krwią, z pyłem mieszaną. Wyniesiono go za cyrk.

Pomimo tego, że każdy z widzów był świadkiem jego smutnego końca, na żadnéj z tych twarzy, mocnym nerwów wzruszeniem zmienionéj, nie znać było ani głębokiego wzruszenia, ani też uczucia litości. Z wlepionych w niego i rozognionych oczu nie spłynęła ani jedna z łez, które prawdziwą zwykły w strapieniu sprawiać ulgę.

(Dokończenie nastąpi.)

— W *Paryżu* ogłoszony został Słownik historyi naturalnéj i cudów natury po 2½ sous poszyt arkuszowy z ryciną; takowy wychodzić będzie co tydzień.

— P. *London* opowiada w ostatnim numerze swéj wybornéj *Encyclopaedia of Cottage, Farm and Villa Architecture*, że w większéj częś. krajów Szkockich, palą powszechnie torf, i że mieszkańcy tak lubią dym z tego powstający, że gdy w posiadłościach Margrabiego *Stafford*, wystawiono nowe domy kamienne z kominami, mającemi do odprowadzania dymu, wielu z czynszowników wzbraniało się w nich mieszkać, i wiele lat upłynęło nim zdołano ich przekonać, i nakłonić do mieszkania w izbach bez dymu.